

Początkowo ogarnęło nim uczucie lęku i niepokoj, lecz wkrótce uśmiechnął się.

— Telegram! dla mnie!

Pani Morel zadrżała, gdy mąż jej rozwinął papier i czytał. Może wrażenie będzie za silne na jego osłabiony umysł i do reszty zamąci iskry samowiedzy i przytomności?!

— Mój Boże! — szepnął chory, opadając bezsilnie na fotel. — Mój brat! mój biedny Piotr! Piotr powrócił do Francji!... będzie tu za chwilę... To był fałsz, to wszystko wiecie. On to mówi, o tu...

Drżącą ręką wskazywał depeszę.

— Zdołał wykaazać swoją niewinność... to tamten, ten Gerfant, ten lajdak, rozywnie go oskarżył. Piotr się tłumaczy... A jego skazali, uwięzili, bez dowodów pewnych!... I teraz wraca biedak do nas! wraca jako uczciwy człowiek, bo sąd uznał jego niewinność. Mój biedny, mały Piotr.

Morel roześmiał się nagle.

— Nazywam go małym Piotrem! bo urodził się po mnie, był młodszy o całe dwadzieścia minut!... Ale teraz musi być całkiem do mnie podobny!...

Przechadzając się gorączkowo po pokoju, Morel mówił dalej niespokojny i wzruszony:

— Powinien już tu być!... Donosi w telegramie, że przybywa zaraz!... Dlaczego go nie ma jeszcze?

Skoczył do drzwi, otworzył je gwałtownie i nagle bezsilny i błydy musiał oprzeć się o framugę.

W drzwiach stał Jan le Kerlack i drżące ramiona wyciągał do brata!

Pan Morel cofnął się szepnął niedowierzająco:

— Czy to ty Piotrze? czy mój sobowtór?

Przecież to był ten, który uwolnił go z domu, gdzie pastwiono się nad nim i który przybrał jego postać, bo był i nim także!

Jan le Kerlack szybko opanował wzruszenie. Porwał brata w ramiona i serdecznie przycisnął do piersi.

— Nareszcie! nareszcie jesteście znowu razem! — zawołał. — Marzenie ostatnich lat spełniło się!...

Wzrokiem hypnotyzował Morela i zmusił do spojrzenia sobie w oczy. Ten wahał się jeszcze, opierał, wkońcu wybuchnął płaczem szepcząc:

— Gdzie ja jestem? Gdzie byłem?

— Pomiedzy nami wszystkimi, mój biedny bracie!

— Ale...

Spojrzał ze zdumieniem na żonę, dzieci i Stanisława, poczem raz jeszcze powiódł okiem po pokoju i sprzętach mu znajomych.

— Sannois! tak, to prawda!... Jestem w Sannois, pomiędzy wami!... Lecz ja przedtem byłem? Gdzie mnie uprowadzono?... A ty? — zawołał chwytając brata za rękę. — Skończone już? na zawsze skończone? Obmyślesz się dostatecznie z tego okropnego podejrzenia? Bo choć byłeś dawniej trochę lekkomyślnym, ale zawsze byłeś dzielny chłopcem! Teraz mogą cię wszyscy w tym domu kochać i szanować! Słyszysz, żono! A wy, moje małe, musicie mu teraz wynagrodzić lata opuszczenia i wstydu! Wiesz, Piotrze, jakie mam ładne córki! To jest Lusja jest ładna, a Fernanda piękna! Uściskajcie, moje dzieci, wuj!

Fernanda i Lusja ze łzami w oczach rzuciły się w ramiona uśmiechniętego Jana le Kerlacka, a pan Morel, prowadząc za rękę Stanisława mówił dalej:

— Pamiętasz, zdarzało mi się niekiedy wspominać przed tobą brata mojego... a że nie mówiłem wszystkiego, to tylko dla tej przyczyny, że to było dla mnie zanadto przykre! Patrz, Piotrze, ten ładny chłopiec jest narzeczoną mojej małej Lusi. Trochę się to niepodoba ojcu, sławnemu doktorowi Gewolskiemu, bo jesteście wobec niego biedni, mali ludzie. A właściwie byliśmy — dodał z dumą. — Teraz zarabiam tyle, co najwięksi malarze świata! Restauruję galerie wielkich panów i książąt!...

Przykry dreszcz wstrząsnął wszystkimi! Po chwili kompletnej jasności umysłu, nadchodziło znowu gorączkowe majaczenie!

Jednakże Morel był całkiem spokojny, gdy rzekł do Stanisława:

— Niech pan to powie swojemu ojcu! Prze-

kona się może, że niema do czynienia z ludźmi wyrachowanymi. Rozmów się, moje dziecko, z nim tej nocy jeszcze, bo moja żona pozwoli powrócić do Sannois tylko oficjalnemu narzeczonemu Lusi. Zresztą dałeś mi już swoje słowo, że nie odwiedzisz nas, aż to wyjaśnienie nastąpi... A ja teraz wracam do domu, gdzie żona oczekuje mnie z niecierpliwością!

Postąpił parę kroków i cofnął się, patrząc przed siebie błędnym wzrokiem.

— Kto poruszył mój wodotrysk?!... Sprawdziłem przecież dziś jego bieg! Kto go zatrzymał? Kto?

Chciał biec naprzód, lecz jeszcze raz rzucił się w tył, wołając przerażonym głosem:

— Czego wy chcecie odemnie! Puśćcie mnie! puśćcie mnie! słyszycie! nędznicy!

Wkońcu opadł na krzesło, gdzie pozostał długą chwilę bez ruchu, błydy, jakby skamieniały.

Pani Morel i córki chciały go otoczyć, lecz Jan le Kerlack usunął je niecierpliwie: chciał, aby cała ta scena dokładnie ujawniła się w pamięci brata!



— To za mało, żeby wytłumaczyć namiętność moją do pejzażu.

To już nie był szal, to było jasne wspomnienie przeżytego dramatu!

— Głowa! moja głowa! — szepnął kilkakrotnie Morel. Poczem spojrzał wokół dosyć przytomnie i jakgdyby odgadł w obecnych pragnienie dowiedzenia się jeszcze czegoś więcej, rzekł zgnębiony:

— Więcej już nic nie wiem... nie wiem nic... Co to było wszystko? Co się ze mną stało od czasu, w którym was nie widziałem? Dziwne rzeczy dzieją się ze mną? Gdzie ja byłem? bez was? Tu nie jest Sannois! Nie byłem z wami dziś rano, tylko z tym zacnym doktorem, który się mną tak opiekuje, a tamten dręczył mnie tylko! Doktorze!... oh! doktorze!

Proszącym ruchem Morel wyciągnął ręce do dyrektora zakładu, który w bocznym korytarzu był obecnym całemu zjściu i teraz znalazł stosowną chwilę do ukazania się...

Podszedł do pacjenta i kładąc przyjaźnie rękę na jego ramieniu, oznajmił stanowczo, że na dzisiaj dosyć już tej pełnej wzruszeń rozmowy.

Pani Morel i Jan le Kerlack niespokojnym spojrzeniem zapytywali o rezultat spostrzeżeń; doktor uśmiechnął się do nich uspakajająco. Był widocznie zadowolony z pacjenta.

— Ależ mój panie Morel — rzekł szczerze — nie jesteś wcale w Sannois, tylko u mnie. Przechodziłeś bardzo złośliwą gorączkę i wyznaję panu otwarcie, chwilami umysł twój ulegał jej wpływowi, a nawet majaczyłeś porządnie.

— Więc to było majaczenie — zawołał uradowany Morel — to wszystko, co widziałem w mojej biednej głowie! Ci ludzie, którzy rzucili się na mnie, a potem, to już nic nie pamiętam! Gdzie to ja nie przebywałem! Byłem w Rzymie! W Luwrze z Rubensem... z Davidem! W Anglii z Van Dykiem!

— Ależ ojczulku — zdobyła się na odwagę Lusja. — Czy my to oboje nie przebywamy zawsze razem z tymi wielkimi mistrzami. Ale teraz, to tylko ja będę z tobą, bo mamy obecnie ładne prace do wykonania... bo trzeba ci wiedzieć, że nie tylko w snach gorączkowych odnawiałeś obrazy księcia indyjskiego z Kiwani!

— Tak, to jest prawda — potwierdził malarz przypatrując się uważnie miniaturom, leżącym na stole.

Twarcz doktora rozjaśniła się jeszcze bardziej.

Z wdzięcznością i uznaniem spojrzał na Lusję, oceniając jej przytomność umysłu.

— A jeszcze więcej dostarczę ci tych miniatur — mówiła Lusja dalej — chyba, że zechcesz już całkiem powrócić do nas, do swojej pracowni?... Do naszej pracowni!...

Ostatnie słowa córki przyjął pan Morel lekkim drżeniem.

— Nie, jeszcze nie mogę powrócić — rzekł poważnie. — Nie chcę jeszcze opuszczać mojego zacnego doktora, który mnie tak troskliwie wyleczył z tej gorączki... A zresztą — dodał żartobliwie — skoro zapakowaliście mnie do szpitala, to wyjść z niego nie mogę, bez piśmiennego pozwolenia doktora. Ale odwiedzać mnie możecie codziennie. Prawda, doktorze?

— Tak, ale nie wszyscy razem! — odparł dyrektor. — Chory, jak tylko lepiej się trochę czuje, to zaraz zuchadaje. Jedna osoba dziennie może przychodzić. Tylko pan le Kerlack odwiedzać może dowolnie, bo przypuszczam, że po tak długim niewidzeniu wiele macie sobie do opowiadania!

— Mój biedny Piotr! — rzekł pan Morel — wyciągając ręce do brata. — Pewnie, że mamy niejeden do omówienia. Wiesz, jak tylko cię ujrzałem, uczułem, że ze mną już będzie dobrze, a teraz zapewniam was moi drodzy, że znajduję w sobie dosyć siły, aby powtórnie nie zapaść w tę niedobrą gorączkę.

Wyjaśnienia fakira.

Tydzień ten był dla księcia Kiwani i doktora Gewolskiego pełnym sławy i znaczenia. Miejscowe dzienniki rozpięły się szeroko o dokonaniem, wielkim doświadczeniu naukowym, a wiadomość tę podawano sobie z ust do ust. Książę Kiwani na wzór pełnego próżności autora, który

zbiera skrętnie każdą wzmiankę, uczynioną o nim publicznie, odbierał przez specjalne agencje, wycinki z artykułów dziennikarskich, gdzie omawiano to ciekawe zdarzenie. Porobiono fotograficzne zdjęcia z laboratorium doktora Gewolskiego, ze wszystkimi jego przyborami, podawano podobizny księcia wraz z jego uczonym przyjacielem...

Młody fakir Kirtak otrzymał kilka niepoehlebnych wzmianek, nie miano jednak słów pochwały dla „starca świętego“, który z narażeniem życia poddał się tak niebezpiecznemu przedsięwzięciu w tak szlachetnym celu, nie chcąc osobiście w niczym krzyżować z dobroczynności indyjskiego władcy! Jednakże angielskie dzienniki trochę niechętnie patrzyły na dobrodziejstwa księcia, czynione dla jego kraju i na wyjawienie strasznej nędzy, panującej w Indyach. Anglia nie lubi, gdy się o tych rzeczach mówi głośno.

(Ciąg dalszy nastąpi).